Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 9.
dnia 30. Stycznia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM I.

Errare humanum est

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ VIII.

STAROSTA NOWOCZESNY.

Przy końcu czerwca, po długiej i pięknej pogodzie deszcze się rozlały. Niebo było ciągle zapłakane, gór najlepsze oko nie mogło dojrzeć, mgłą zbitą i ciężką równiny oddychały. Drogi, niedawno jeszcze tak dobre, zrobiły się nie do przebycia, to też tylko ten na nich się pojawiał, kogo nieubłagana konieczność do tego zmuszała, a na łąkach, gdzie właśnie kośbę rozpoczęto, potworzyły się jeziora.

W ślad za pierwszemi deszczami, przyszła wiadomość o pojawieniu się tyfusu głodowego, najpierw w górach, następnie w niektórych wioskach leżących w pobliżu Ludaczowa. Straszna epidemja dawała się być usprawiedliwioną w górach, gdzie z braku urodzajów przednowek bywa ciężki; lecz jak ją sobie wytłumaczyć na równinach, gdzie ziemia jest urodzajna i gdzie jej tyle, że prawie rąk brakuje do jej obrobienia? Nad tem smutnem zapytaniem zastanawiał się najgłębiej Ryszard Gozdawa. Jego ojciec, a wraz z nim i inni sąsiedzi tyle tylko wiedzieli, że tyfus się pojawił, że głód coraz większy między ludnością wiejską i że jest bardzo źle mosterdzieju! Atoli przyczyn złego żaden z nich nie szukał, każdy bowiem patrząc od dziecka na jedne i te same zjawiska, wierzył, że one są prawidłowe i naturalne. Nie wątpimy, że ten i ów zapytany, dla czego na wiosnę bywa głód w kraju z natury tak bogatym jak Galicja, nie wahałby się nawet odpowiedzieć, że tak samo nie może go wytłumaczyć, jak nie umie wyjaśnić nagłych zmian klimatycznych. Dopiero rozumniejsi usiłowaliby cię przekonać, że chłop dla tego mrze z głodu na wiosnę, iż nie ma zapasów, a brak mu znów zapasów, gdyż nie chce pracować i nie umie oszczędzać. Tak, tak mociumpanie, zakończyli by poważnie, gdyby nie karczma, wódka i żyd, chłop nie znałby przednowku!

Jednakowoż żaden z nich o tem nie pomyślał, że chociaż w Egipcie nie ma ani karczem z wódką, ani tylu żydów co u nas, i lubo że ziemia tam jeszcze bogatsza niż nasza, tak dalece, że do roku podwójny, czasem nawet potrójny plan wydaje, że mimo to Fellach egipski jest zawsze biedny i często gęsto mrze śmiercią głodową... Żaden z nich o tem nie myślał, gdyż myśląc, musiałby poruszyć najdrażliwsze pytania społeczne i polityczne, których bądź całkiem nie rozumiał, bądź się ich bał dotknąć. Jeden Ryszard był zdania przeciwnego. Przyzwyczaiwszy się wcześnie uczyć i myśleć, a mając z natury umysł nadzwyczaj trzeźwy i spokojny, badał sumiennie wszystkie zjawiska, i ostrożnie jak chirurg, gdy żelazem w ranie kulę śledzi, szukał ich przyczyn...

Odkąd pan Lachocki objął Starąwieś we własny zarząd co Ryszardowi nadzwyczaj się podobało, tak dalece, że ojcu powiedział iż była to myśl genjalna, i odkąd sam nie potrzebował do obory zaglądać, co między nami mówiąc, prawdziwej przyjemności nigdy mu nie sprawiało; odtąd jeszcze więcej niż przedtem oddawał się swoim studjom, przy czem także nie

zapominał o praktyce lekarskiej. Ponieważ według ustaw austrjackich, ten tylko jest w tem państwie za prawdziwego lekarza uznany, kto w niem złoży egzamina doktorskie, przeto Ryszard chcąc uniknąć możliwych nieprzyjemności, chciał zaraz pojechać do Krakowa, aby w Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskać panowny dyplom wszech nauk lekarskich. Gdy jednak przed ojcem zamiar swój wyjawił, ten tak go zakrzyczał, że Ryszard nie mógł przyjść do słowa.

— Że twoja matka sercuńciu, kazała ci się różnych rzeczy uczyć, temu ja się nie dziwię, bo chociaż była świętą kobietą, wszelako mosterdzieju było w niej i dziwactwa niemało... naprzykład sercuńciu ten list w kasetce, której przez dwadzieścia pięć lat nie pozwoliła mi otworzyć, czy to nie dziwactwo? Ktoby był myślał, że się tam Bóg wie co znajdowało, a to mosterdzieju list zwyczajny! Otóż, że jej woli sercuńciu zadość uczyniłeś, bardzo to pięknie, lecz abyś tu w kraju miał być doktorem i pigułki kręcić, lub uchowaj Boże jeszcze co gorszego robić, to sobie mosterdzieju raz na zawsze wypraszam. Gozdawici byli tylko rolnikami i takim mój syn będzie.

Jakkolwiek Ryszard, mimo całej słodyczy w postępowaniu z ludźmi i uległości dla ojca, miał w gruncie charakter nieugięty, nie sprzeciwił mu się tym razem, gdyż nie widział tego potrzeby. Lekarzem z zawodu nie miał jeszcze zamiaru zostać, leczyć zaś bezpłatnie mógł i bez nowych egzaminów.

Pewnego dnia rano, gdy po kostki w błocie brodząc, spieszył do jakiegoś chorego, zobaczył w samym środku wsi, przed chatą jednego z włościan najubozszych, kilkunastu żydków z Ludaczowa, między którymi wodził rej Moszko, arendarz miejscowy. Za płotami i na drodze stali wieśniacy. Powodowany ciekawością zbliżył się do chaty.

— Co to jest? — zapytał jednego z bliżej stojących.

— Proszę wielmożnego pana — chłop kłaniając się odpowiedział — to pan sekwestrator licytują rzeczy zagrabione.

— Za cóż je zagrabił?

— Ta za podatki, proszę wielmożnego pana.

— I kogoż on licytuje?

— Ta biednych ludzi, proszę wielmożnego pana, którzy zapłacić nie mogą. Tamtego tygodnia przyjechał i zagrabił, a wczoraj kazał tu wszystko poznosić i teraz żydzi rozszarpują rzeczy chrześcijańskie.

Podczas gdy na drodze taka toczyła się rozmowa, pod chatą słychać było krzyk kobiet, płacz dzieci, szwargot żydów i od czasu do czasu wołanie: Kto da więcej?!

Ryszard bliżej postąpił. Za stołem pod parasolem siedział sekwestrator, o ile z powierzchowności można było sądzić, jakiś urzędnik emerytowany; obok niego stał woźny, na ziemi leżały różne przedmioty, jak kożuchy, sieraki, worki ze zbożem, nawet koszule, spodnice i poduszki, przy płocie krowa ryczała, której beczeniem dwie kozy wtórowały.

— Beczułka kapusty! Pięćdziesiąt centów! Kto da więcej?

— Boże! Boże! — krzyknął głos kobiecy — nie zabierajcie mi kapusty, bo tyle mam wszystkiego w chacie!... Przednowek długi, do żniwa daleko, a dla dzieci nie mam nic, nic!

— Mamo! a my co poczniemy, jak nam [illegible] zabiorą? — pytał nieco dalej chłopczyna pięcioletni, podając wygłodzonej krowinie garść trawy, którą w rowie naskubał.

Matka nic nie odpowiedziała, tylko fartuszkiem łzy sobie obtarła.

— Praksedo! — dał się z boku słyszeć głos starca zgrzybiałego — czem wykarmisz dziecko i siebie, jak ci pan sekwestrator kozy sprzedadzą?

Kobieta spojrzała na ojca, na sekwestratora, który obojętnie coś zapisywał, na kozy i z niemą boleścią ręce załamawszy, wzrok błagalny ku niebu podniosła.

— Panie sekwestratorze — Ryszard przemówił, przy stole stając — czy smutnej tej sprawy nie możesz wstrzymać, lub przynajmniej na jakiś czas odroczyć?

— Bardzo mi przykro, panie dobrodzieju, ale żadną miarą nie mogę tego uczynić. Starostwo otrzymało nakaz, żeby z całą energją zajęło się niezwłocznie ściąganiem podatków.

— Lecz rozważcie panie, że teraz właśnie przednowek.

— Wiem, wiem panie dobrodzieju i sam nad tem boleję, lecz cóż ja tu pocznę? Ja panie dobrodzieju jestem tylko maszyną, która robi co jej każą.

— A pan starosta nie mógłby pomódz?

— Ha! Starosta co innego... chociaż z drugiej

strony, jeźli mam prawdę wyznać, wątpię by i on tu poradził... Nasz pan starosta jest jak wiadomo mężem bardzo prawym i szlachetnym, ale cóż on może pomódz, skoro mu przysyłają rozkaz z wyraźnem obostrzeniem, że jeźli do tego a tego czasu podatków nie ściągnie, własną pensją za nie odpowie? Ciężka sprawa panie dobrodzieju, bardzo ciężka!

— Ileż wynoszą wszystkie należytości, za które przedsięwziąłeś pan tę licytację?

— Zaraz będę służył panu dobrodziejowi.

Sekwestrator wziął do rąk papiery, zaczął szukać i na boku ołówkiem pojedyńcze cyfry notować.

— Za podatki — rzekł — należy się 97 guldenów 66 i pół centa, należytości zaś przenośne wynoszą 35 guldenów i 27 centów.

Ryszard sięgnął do kieszeni; na szczęście miał przy sobie pugilares i pieniądze. Odliczył całą kwotę.

— Niech pan będzie łaskaw wziąć to za tych biedaków, a ja z panem starostą sam się już obliczę.

— Bardrzo mi przyjemnie — odrzekł sekwestrator — lecz jeźli pan dobrodziej taki łaskaw, że za nich płaci, to może za jednym zachodem raczy pan i mój rachuneczek wyrównać, inaczej nie mógłbym odstąpić od licytacji.

— Jaki rachunek?

— Za komisje należy mi się od nich 17 guldenów i 89 centów. Przyjeżdżałem pięć razy...

— Więc rząd pana nie płaci? Więc nietylko zabierasz im ostatnią beczułkę kapusty za podatki, lecz prócz niej musisz w chacie jeszcze tyle znaleźć, byś i swoją pretensję mógł pokryć?

— Tak jest panie dobrodzieju. Rola to bardzo smutna, ale co począć... Wiele ten czyni kto musi. Rząd powiada, że z tego, co mu się należy, ani grosza nie może stracić, ty zaś panie sekwestratorze żyj sobie własnym przemysłem.

— I władzy nadużywaj, ilekroć potemu sposobność się nadarzy.

— Ja jej panie dobrodzieju nie nadużywam... Ja tylko tyle biorę i co mi się prawnie należy.

Ryszard nic na to nie odpowiedział, wyjął pieniądze a wręczywszy je sekwestratorowi, odwrócił się do włościan, którzy zaciekawieni, z wszystkich stron się cisnęli — i w te słowa przemówił:

— Niech każdy zabierze co jego i spokojnie idzie do domu. Może Bóg da, że w tym roku będziemy mieli większy urodzaj, a wtedy płaćcie podatki dobrowolnie nie czekając na egzekucję.

— Żeby Bóg dał panoczku! — chórem zawołali. — Pewnie że każdy wolałby po dobremu zapłacić. Niech wam Bóg da zdrowie ta i panowanie panoczku!

Zaczęli się cisnąć do jego rąk i nóg, aby mu za dobrodziejstwo podziękować. Zaledwie przez tłum się przecisnął. Dostawszy się na drogę, krokiem przyspieszonym poszedł do chorego; za nim leciały błogosławieństwa biednych matek i starców zgrzybiałych.

Jedni tylko żydzi widząc, jak im się z rąk wymknęły przedmioty, które mogli za bezcen kupić, złorzeczyli Ryszardowi; Moszko zaś, który na krowę miał apetyt, zaszwargotał do drugiego żyda:

— Ciekawym, czy jego kto wykupi, jak go będą razem z ojcem licytowali.

Nasz przyjaciel odwiedziwszy tymczasem chorego, którego zastał znacznie lepiej, wrócił do domu i na objad nie czekając, pojechał do starosty. Miasto powiatowe leżało o półtorej mili, a że gościniec do niego prowadził, więc na objad mógł jeszcze do domu wrócić.

Starosta, pan Zygmunt Grabowski, był bliskim krewnym Gozdawitów. Pochodził on także z rodziny dobrze skoligaconej i niegdyś zamożnej, która jednak po zniesieniu pańszczyzny, nie umiejąc tak samo jak wiele innych zastosować sie do nowego położenia, straciła fortunę i odtąd ledwie wegetowała. Na szczęście ojciec Zygmunta, był szkolnym kolegą i przyjacielem hr. Agenora Gołuchowskiego, który przez długie lata Galicji namiestnikował. Ten poradził mu aby syna oddał do szkół i na urzędnika wykierował.

— Będzie miał kawałek chleba uczciwego — mówił namiestnik — a nauczywszy się pracować, nie zje resztek tego, co wam zostało. Zresztą mam nadzieję, że w Galicji zmienią się stosunki, prędzej lub później musimy dostać zupełny samorząd, a w takim razie i urzędnicy rządowi inaczej będą wyglądali niż dawniejsi. Co do mnie wierzę, że pod dynastją Habsburgów będziemy dla Polski pracowali. Szlachta ma zatem widoki w urzędach.

Namiestnik mówił jak wierzył, a stary pan Grabowski wierzył znowu w namiestnika jak w Boga. Następstwem tej wiary było wysłanie Zygmunta do Wiednia na wydział prawniczy, zkąd gdy powrócił, otrzymał natychmaiast posadę w Namiest-

nictwie. Hrabia o nim nie zapomniał, i jak tylko się przekonał, że Zygmunt Grabowski ma zdolności, i jest dobrym urzędnikiem, gorliwie nim się zajął. Odtąd młody koncepista szybko awansował, tak dalece, że już w 35. roku życia został starostą. Właśnie gdy na nową posadę odjechał, namiestnik umarł.

Gdyby kto rozstawszy się z tą ziemią między pierwszym podziałem Polski, a rokiem 1854, cudem teraz wskrzeszony powstał z grobu i zaglądnął do pierwszego lepszego starostwa w Galicji, byłby najmocniej przekonany, że jest ciągle na tamtym świecie, nie zaś między ludźmi żyjącymi, tak teraźniejsze stosunki do ówczesnych niepodobne. Niegdyś starostwo było gniazdem germanizacji, dziś wszystko w niem po polsku; niegdyś starostwa każdy unikał, dziś wszyscy do niego chętnie wchodzą; niegdyś starosta był przedewszystkiem policjantem, wietrzącym spiski i szukającym zbrodniarzów politycznych, dziś każdy starosta jest, lub przynajmniej stara się być, obywatelem kraju. Myliłby się jednak ktoby sądził, że od ówczesnych stosunków do dzisiejszych tylko jeden krok prowadził. Porządek świata nie znosi skoków gwałtownych, i to tylko ma w nim rację bytu, co się powoli i prawidłowo rozwija. Tak samo działo się ze starostwami w Galicji. Między takimi Breinlami, których historja Galicji krwawemi literami na swych kartach zapisała, a takimi Grabowskimi, których cały kraj kocha i na rękach nosi, widzieliśmy od r. 1854 do 1866 naczelników powiatowych, znanych podówczas z niemiecka *bezirksvorsteherami* którzy byli pomostem łączącym dwa światy, stary i dzisiejszy. Owi panowie nie byli już policjantami w dawniejszem znaczeniu tego wyrazu, lecz równocześnie bali się także zostać obywatelami. Był to rodzaj płazów, żyjących w wodzie i na ziemi, usiłujących jedną ręką trzymać się rządów absolutnych, drugą zaś kraju, w którym obudzała się dążność do samorządu. Gdy oni zeszli z widowni, pojawili się dopiero starostowie jak Zygmunt Grabowski i jemu podobni.

Nasz starosta był obywatelem kraju w całem znaczeniu tego wyrazu. Żył z okolicą, z Marszałkiem rady powiatowej zostawał na najlepszej stopie, do szlachty jeździł na objady i wista, którego grał wybornie, na weselach drużbował, dzieci do chrztu trzymał, polował, jeździł konno, krótko mówiąc, był miłym człowiekiem, nie zaś biurokratą z twarzą pergaminową, który ludzi unika i którego ludzie się boją. On przeciwnie lubił towarzystwo, zwłaszcza dam, dla których miał często cukierki a zawsze słowa słodziutkie.

Odziedziczywszy po ojcu kilkadziesiąt tysięcy, które z ruiny ocalały, złożył je w banku i tylko odsetki od nich pobierał. Kapitału ani tknął. Odsetki jednak, dodane do pensji starosty, tworzyły rok rocznie sumkę wcale pokaźną, która człowiekowi jak on nieżonatemu, wystarczała na utrzymanie przyzwoite. Miał też piękny ekwipaż, dobrego kucharza i niezłą piwnicę. Szlachtę regularnie raz na miesiąc zapraszał na objad, który dzięki wiścikowi przeciągał się do północy. Sąsiedzi podchmieleni rozjeżdżając się do domów, nie mogli się dość nachwalić gościnnego starosty.

Z tem wszystkiem pan Grabowski był urzędnikiem wzorowym. Do biura pierwszy przychodził i ostatni z niego wychodził. Zaległości nie miał, w powiecie porządek panował, i żaden z jego urzędników nie opuszczał się w swoich obowiązkach. Cichaczem też szemrali na niego, lecz on udawał że nie słyszy i swoje robił.

Wielki świat małomiasteczkowy brał mu atoli za złe, że serdecznie żył tylko ze szlachtą, a z nim zostawał na stopie zimnej etykiety. Brał za złe dla tego, że nie rozumiał swojej nicości, która człowiekowi przywykłemu do lepszego towarzystwa i mającemu gust wytworniejszy, żadną miarą nie może wystarczyć. Zresztą starosta urodził się i wychował wśród szlachty, nic więc dziwnego, że chętniej lgnął do tych, którzy go rozumieli i których sam rozumiał, niż do wymuszonych matek i córeczek wykrygowanych. które każdego człowieka przyzwoitego „arystokratą“ nazywają.

Zdaniem owych matek jedynie arystokracja, na którą starosta chorował, miała być powodem, że się dotąd nie ożenił. Tymczasem on się nie ożenił z przyczyn wielorakich. Najpierw dotąd nie spotkał panienki, którąby prawdziwie pokochał, bez miłości zaś żenić się nie myślał; następnie jak długo nie był starostą, nie szukał żony, nie miał bowiem odpowiedniego dla niej stanowiska; nakoniec gdy został starostą, miał już lat z górą trzydzieści, a wtedy każdemu mężczyźnie trudno się ożenić. Jak wiadomo, wtedy do ożenienia koniecznie potrzeba przyjaciół i swatów. Prócz tego w całym powiecie nie było ani jednej panienki, po którąby się mógł posunąć. Te były za młode, tamte za

stare, inne znowu nie otrzymały odpowiedniego wychowania i wykształcenia.

Starosta był serdeczny z przyjaciołmi i lepszymi znajomymi; za to w biurze i na ulicy starał się ile możności powagę zachować. Wtedy mało mówił i rzadko się uśmiechał. Gdy wychodził pieszo na przechadzkę, brał zawsze wysoki czarny kapelusz i laskę z gałką złoconą, którą łagodnie na plecach balansował, w lewej ręce ją trzymając. W jego języku poufnym znaczyło to „zadawać szyku narodowi.“

Jakeśmy wyżej wspomnieli, z marszałkiem Rady powiatowej żył na stopie najlepszej, co jednak nie znaczyło, żeby wszystkie jego żądania spełniał bezwarunkowo. Ponieważ Rady powiatowe mają władzę ustawodawczą bez wykonawczej, więc ilekroć chcą jaką uchwałę wbrew woli gmin przeprowadzić, muszą po egzekutywę do starostw się udawać. Nasz starosta ilekroć się przekonał, że żądanie było słuszne, nigdy jej nie odmawiał, wszakże równocześnie żądał, by marszałek prosił go o nią w formie ile możności uprzejmej. Gdyby raz tego nie uczynił, mógłby o egzekutywę upominać się bezskutecznie do dnia sądnego. Była to najsłabsza strona naszego starosty. Tem jednem, jak powiadał, chciał „naród“ przekonać, że właściwa władza spoczywa w jego rękach, nie zaś w dłoni marszałka autonomicznego. (C. d. n.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nie zdając sobie sprawy, z tego co robi, Abel drzwi otworzył.

Lampa nie podkręcona kopciła ciemno. Zaledwie można było rozpoznać przedmioty tej wielkiej — ciemnej sali.

Abel sądził, że niema nikogo; zawołał, i nikt nie odpowiedział. Zbliżywszy się do biurka ojca, ujrzał na fotelu, który służył zwykle do składania książek, barona siedzącego z rękoma obwisłemi, głową pochyloną na piersi, z plecami zgarbionemi. Abel zadrżał. Myślał że to jaki atak apoplektyczny, coś strasznego; ale zanim dotknął ojca, by zbadać puls i głowę mu podnieść, zatrzymał się zdziwiony. Usłyszał oddech regularny, P. de Moranes spał spokojnie.

Nie mógł się mylić, oddech ciężki, ale regularny, poruszał grube usta uczonego i napełniał czerwone jego policzki.

Spostrzegłszy to, zawrzał wielkim gniewem i oburzeniem.

Jakto! po owem opowiadaniu, po wyznaniu swej zbrodni, ów zbrodniarz spał! Jakto! podczas gdy się jego dzieci oddaliły, córka omdlała prawie martwa, syn przerażony wszystkiem tem, co usłyszał, on dziki, stoik, obojętny na ból, który sprawił, zamiast pójść za nimi spokojnie zasnął?

Czy to było podobnem? Czy to nauka swym grubym stoicyzmem go natchnęła? Młody uczony był blizkim rzucenia klątwy na naukę. Znów wyciągnął rękę by obudzić pana de Moranes i szorstko zapytać go, jakiem nowem świętokradztwem był ten sen po tylu innych dokonanych.

Po chwili wszakże rękę swą cofnął.

Szacunek silniejszy od natury, któremu uległ już raz tutaj w tem sanktuaryum, wstrzymał jego rękę Pochylił się, popatrzył jeszcze raz z blizka na uczonego i teraz myśl sprawiedliwsza i rozsądniejsza przyszła mu do głowy.

Sen był siłą pokonującą. Pan de Moranes miał czoło pomarszczone, twarz z tym samym bolesnym wyrazem. Nie chciał spać, ale sen go napadł jak apopleksja.

Abel przypomniał sobie, że czytał o takiej niemocy sennej, która napada nawet złoczyńcę skazanego na śmierć, zbrodniarza w obec trupa swej ofiary, jenerała po bitwie przegranej, króla po swej abdykacji albo porażce. Każde upojenie, czy to winem, czy jakiemkolwiek upadkiem, utrzymuje życie po takiem wysileniu mózgowem.

Pan de Moranes zapewnie tak samo uległ teraz nadmiarowi boleści, jak w owym dniu fatalnym miłość jego uległa szałowi morderczemu. Owe szczegółowe opowiadanie, które aż do ostatniego słowa wola hamowała, upoiło go i zrobiło bezwładnym. Jego krwisty temperament walczył w nim jeszcze, ale natura silniejsza pokonała go, zachowała go na dalsze cierpienia, powaliła go tylko, ale nie zabiła.

Abel wystawiał sobie, co ojciec musiał wycierpieć. Podczas gdy unosił siostrę zemdloną, pan de Moranes zmięszany, przerażony cofnął się aż do swego fotelu i tam padł jak nieżywy a sen ołowiany zawładnął nim jak siła brutalna natury fizycznej nad człowiekiem silnej woli i inteligencji.

Abel zrozumiał to, odgadł, robił sobie wyrzuty, że na chwilę zwątpił w ową naiwną czułość swego ojca, ukląkł przed nim i został tak przez chwil kilka pochylony, patrząc na niego, nie myśląc wcale o prze-

budzeniu go; poczem wiedziony uczuciem serdecznego współczucia, zbliżył usta do jednej z rąk obwisłych i złożył na niej lekki, synowski pocałunek, pierwszy, który ojciec od niego otrzymał a którego ów stoik tą razą zabronić mu nie mógł.

Wyszedł potem ostrożnie z biblioteki, a chcąc się dnia doczekać, błądził po parku.

Wszystko na okół spało; on jeden czuwał a jakaś duma ukryta ogarniała go na myśl, że przechadza się jak mściciel i zbawca wolny wśród tego domu uspionego, przemyśliwając, co robić, aby uspokoić marzenia siostry i utrwalić sen ojca.

Był smutnym, ale tyle posiadał dobrej woli, że jego wiara budziła w nim nadzieję.

Podchodził kilkakrotnie pod drzwi ojca, ciągle słyszał równy oddech spiącego. Przechodził się przez ów ciemny salon, w którym lampa paliła się jeszcze; jego myśli podtrzymywały czynność umysłową i nie pozwalały mu popaść w nerwową melancholią.

Nad ranem zgasił lampę, wyszedł cicho z pałacu, przebiegł ogród, usuwając się przed wzrokiem sług kręcących się, i czekał na stangreta, spiącego nad stajnią. Jak tylko usłyszał, że Piotr porusza kubełkami i zabiera się do mycia powozu obłoconego od wczoraj, poszedł do niego. Stary woźnica zdziwił się bardzo i z miną trochę przebiegłą, niby się uśmiechając, serjo zapytał:

— Już pan wstałeś?

— Taki podróżnik jak ja nie wiele sypia.

— Jednak zdawałeś się pan wczoraj bardzo zmęczonym?

— Dziś już nim nie jestem. Osiodłaj mi konia.

— Nie będziesz pan miał pogody do spaceru; jeszcze chmur pełno.

Mam interes w Boulogne.

— Jeżeli pan rozkaże, będzie zaraz gotów powóz.

— Dziękuję, prędzej będę konno.

Abel przybrał minę obojętną, wydając te rozkazy. Przypomniał sobie po badawczem spojrzeniu stangreta że Piotr został jedyny ze starych sług z Ardennów, którego pan de Moranes tu zabrał.

Czy to dla tego zabrał go, że wiedział o wszystkiem, czy też dla tego, że nie wiedział o niczem?

A gdyby go zapytać? Ale, skoro baron zatrzymał go w służbie, to dla tego. że mógł liczyć czy na jego dyskrecją czy nieświadomość. Abel nie mógł go zresztą badać bez zdradzenia się z czegoś, co zaszło między nim a ojcem; bez wtajemniczenia go w tę straszną rozmowę. Jeżeli nie znał okropnej tajemnicy, po co ją odsłaniać?

Byłoby to nawet pewnem zerwaniem solidarności, jaką się z nim związał ojciec od wczoraj; a wreszcie heroizm Abla, którym się napawał, nakazywał mu działać samemu, iść prosto tą drogą ciemną, nie szukając od nikogo prócz od ojca wyjaśnień.

Stał więc przed starym woźnicą sztywny, wyprostowany, blady, drząc niby z chłodu poranka, z ustami zaciśniętemi i rozkazującą postawą.

Piotr, wytresowany przez pana de Moranes, nie pozwolił sobie żadnego zapytania, tyczącego się owej podróży do Boulogne konnej pomimo błota. Zapewne młody pan chciał sam być przy odbiorze swych pak. Piotr miał ochotę przypomnieć, że to on po nie miał jechać; ale że Abel nie powtórzył tego rozkazu, więc zapewne inaczej zadecydował w tym względzie.

Piotr zauważył, że Abel źle noc przebył, zapewnie mało spał po trudach takiej podróży, a wstał tak rano. Ale wiedział z doświadczenia, że uczeni kładą się późno a wstają rano. Przecież widział teraz jeszcze że lampa w pokoju pana de Moranes nie zgasła dotąd. Jaki ojciec taki syn! To było naturalnem.

Gdy koń był osiodłany, Ablem nagle ogarnął skrupuł, który przemógł wszelką ostrożność.

— Piotrze! — rzekł porywczo — gdybym się spóźnił z powrotem albo gdybym wcale powrócić nie miał...

Stary stangret rozwarł szeroko oczy. Zdawało się Ablowi, że pobladł, nie wyrzekł jednak ani słowa.

— Przyjechałbyś po mnie.

— Mógłbym jechać zaraz z panem, tem więcej, że mam paki przywieźć.

— To nic spiesznego. W jakim hotelu zwykle stajecie?

— W hotelu „des Bains“.

— Więc tam zesiądę.

— Jak długo mam tu czekać na pana?

— Do wieczora.

— A! no dobrze!

Piotr wymówił to „dobrze“ dzwoniąc zębami, co widocznie znaczyło: to źle!

Abel poznał się na tem wzruszeniu, które więcej było niż ciekawością lub prostą przychylnością starego sługi. Popatrzał uważnie na Piotra a ten spuścił oczy, poprawiając coś przy koniu.

Pobyt w pałacu stanowczo wzmagał w każdym siły. Piotr w swoim rodzaju równał się Ablowi. Ten ze swej strony, aby się nie zdradzić, poprawił strzemiona, poprzyciągał sprzączki i wskoczył na siodło.

Jednak potrzeba było, aby Abel powiedział choć parę słów serdecznych temu poczciwcowi, tak dyskretnemu w swojem przywiązaniu.

— Piotrze, mój ojciec wcale się nie położył tej nocy.

— Zdarza mu się to często, panie.

— Zastałem go spiącego w fotelu; spi jeszcze. Piotr podniósł głowę zdziwiony. Znów zdawało się Ablowi, że pobladł i że chce go o coś zapytać. Ale po pewnem wahaniu rzekł głucho:

— To mu się czasem już przytrafiło.

— A jak się czuje po takim śnie twardym?

— Tak, jak go pan zapewnie zastałeś. Jest spokojny, zdrów... Jeżeli to tylko pana niepokoi?...

Mówił to niby ironicznie, ale ostatnie słowa były zachętą ze strony owego człowieka wytresowanego i

milczącego z obowiązku. Chciał dowiedzieć się coś, ale nie śmiał zapytać.

Abel nie odpowiedział; brał za lejce i chciał ruszyć.

Piotr odważył się na więcej, niż jego charakter na to pozwalał.

Schwycił za uzdę, poprawił niby czaprak źle przymocowany i rzekł łagodnie:

— A dla panny Blanki nie dasz mi pan jakiego zlecenia?

Abel poruszył usta uśmiechem, którym ani oszukać, ani uspokoić starego sługi nie mógł. Sądził, iż tak uspokoił siostrę, że opuściła go, zapominając o pojedynkach, o których jej wspomniał za przybyciem.

— A! miłość, miłość! — mówił sobie po cichu z zachwytem, nie oburzając się wcale na ten egoizm owej najczystszej i najtkliwszej młodej dziewczyny.

Odpowiedział głośno:

— Nie, powiesz mej siostrze, co ci się będzie podobało, że wyjechałem konno, naturalnie na spacer.

Piotr wyczerpnął całą swą dyplomację. Otworzył bramę i poruszył dopiero wówczas głową, gdy Abel kłusem wjechał w aleję.

IX.

Abel jechał na spotkanie, nie uprosiwszy sobie wpierw żadnych świadków, nie wiedząc nawet gdzie mieszka pan de Somery, bo ten, podając mu kartę ze swem nazwiskiem, aby się nie usuwać od odpowiedzialności, do której Juliusz Courberon go zmusił, nie miał ani czasu ani może chciał dać adres swego mieszkania w Boulogne.

Ale młodego de Moranes nie odstraszały te trudności. O adres postara się łatwo; co do świadków znajdzie ich w koszarach, w porcie; odezwie się do pierwszego lepszego, nawet od przeciwników zażąda, aby mu takowych wskazali. Chciał tylko, aby byli świadkami jego odwagi i prawości, bynajmniej zaś, aby znano powód zniewagi. Pojedynek był nieuniknionym, nie potrzeba było żadnych formalności wstępnych.

Najprzód chciał się bić z panem de Somery. On był największym przestępcą. Jego miał zabić albo zostać przezeń zabitym.

Obawiał się tylko, aby ten człowiek, tak dobrze wychowany, tak wzniosły, nie chciał go oszczędzać, albo aby nie przyjął pojedynku. Zostać zabójcą syna potem gdy się zabiło matkę i zrobiło nieszczęśliwym męża, to było za wiele dla tego skrupulatnego sumienia. Może nie zechce szpadą o szpadę, jak nie chciał trącić kieliszkiem o kieliszek.

Abel był gotów zmusić go. Obrazi go wypoliczkuje publicznie. Zrobi to z nim, co Somery zrobił z Juliuszem Courberon. Widział, jak Somery stracił cierpliwość i postąpił brutalnie mimo dobrego wychowania. Chciał go znów do tego doprowadzić! chciał go rozjątrzyć, aby nie pozwolić mu być szlachetnym.

Abel wierzył w hart swego charakteru. Umiał robić szpadą, umiał strzelać; był pewien, że ręka mu nie zadrgnie, że mając w ręku broń, wymierzy sprawiedliwość.

Ta nadzieja, ta pewność siebie napawała go dziką radością. Nienawiść głęboka jest ulgą tak samo jak miłość. Gdy uczucie ludzkość przygłusza, wtenczas uwalniamy się z wszystkiego tego co nas w życiu raniło.

Abel popędzając konia po drodze błotnistej, napawał się tą jedyną myślą. Zabije, a pilno mu było widzieć pana de Somery ugodzonego, skrwawionego jak Blanka widziała matkę; wystawiał sobie miejsce, w które uderzy, nie chybi, nie będzie to tylko draśnięcie, nie, zada mu głęboką, szeroką ranę, to zadowolni jego dziką zemstę. Wszakże tyle cierpiał!

Gdy się zemstą nasyci, może wtenczas przebaczy Courberonowi. Ten głupiec nie zasługiwał tyle na karę. Okaże całą wzgardę, rzuci obelgę w twarz i powróci potem do pana de Moranes, aby mu powiedzieć:

— Możemy teraz płakać razem, pomściłem się!

Abel miał ciągle jedno i to samo postanowienie, jadąc do Boulogne; lecz droga pohamowała złość. Koń był spocony, a on sam, gdy zsiadł, czuł się zmęczonym, czego się wstydził i co go gniewało. Kazał sobie dać w hotelu szlankę ponczu, zalecił, aby miano o konie staranie, na przypadek, gdyby Piotr zgłosił się po niego; i blady z oczami pałającemi, ze stanowczą wolą udał się do kawiarni, w której jadł dnia poprzedniego z panem de Somery, przekonany, że tam dowie się o jego adresie.

Na pierwsze słowo, kelner, którego zapytał o adres zadziwił się nie mało; nie wiedział, co odpowiedzieć i wybełkotał, że naturalnie zna dobrze pana de Somery; poznawał i Abla i wiedział, że ci panowie jedli razem wczoraj; nie umiał jednak zapewnić, czy pan de Somery jest u siebie.

Gdy Abel nalegał, pytając o adres pana de Somery, kelner wykręcił się i poszedł do swego pana po rozkazy.

Gospodarz zjawił się zaraz poważny, z tajemniczą miną i potwierdził słowa kelnera, że nie wie, czy pan de Somery jest u siebie.

— Toć ja się sam o tem natychmiast dowiem — przerwał zniecierpliwiony Abel — macie mi tylko dać jego adres. Jeżeli go nie wiecie, to gdzieindziej się o tem dowiem.

Zwrócił się ku drzwiom. Gospodarz zadowolony, że tak zaostrzył ciekawość Abla, przewidując że każde jego słowo ma wartość nadzwyczajną, uśmiechnął się i stanął pomiędzy Ablem i drzwiami, z przebiegłą dyplomacją dodając:

— Gdybyś pan był przybył tu przed kwadransem, byłbyś się spotkał z panem de Somery. Był tu z brzaskiem dnia, a oddalił się przed kilkunastu minutami... ze swymi dwoma przyjaciołmi.

Abel zadrżał i odgadł.

— Swymi dwoma przyjaciołmi? — zapytał, patrząc

ostro na restauratora, — chcesz pan mówić ze świadkami?

Gospodarz mrugnął oczami.

— Zapewnie — szepnął.

— Poszedł się bić, wszak tak?

— Szczerze mówiąc, panie, i ja tak myślę.

— A czy pan wiesz, w którem miejscu odbędzie się pojedynek?

— Słyszałem... niechcący, że ci panowie mówili o lasku, który prowadzi do kolumny wielkiej armii.

— Dziękuję, idę.

— Pan zna drogę?

— Zapytam się.

— Czy pan nie chcesz, abym go zaprowadził?

— Dziękuję... trafię sam.

— Ale to dosyć daleko...

— W którą stronę trzeba iść?

— W stronę do Calais.

— Znam ją.

— Skoro pan będziesz przy folwarku Beaurepaire i młynie olejnym...

Abel zniecierpliwiony temi szczegółami przerwał:

— Możesz mi pan kazać sprowadzić powóz?

Kelner pobiegł przededrzwi.

— Właśnie jeden przejeżdża przez plac Daunon.

— Zawołaj na niego.

Abel nie czekał, aż powóz zajedzje, pobiegł, rzucił się weń jak szaleniec i zakrzyknął febrycznie:

— Jedź tam... do kolumny!

Nie wiem czy dorożkarz był stronnikiem Napoleonidów, która przeżyła cesarstwo i tlała w umysłach pomimo zburzonej kolumny wielkiej armii. Może tylko został zelektryzowany dziwną niecierpliwością podróżnego, który nie czekał, aż słońce wejdzie, aby popatrzyć na Anglią ze wzgórza nad morzem. Może wreszcie spodziewał się sutego wynagrodzenia, więc na dany rozkaz zaciął konie i ruszył z kopyta, wybierając najkrótszą drogę.

— Obym tylko przyjechał na czas! — mówił sobie Abel niespokojnie, nie zdając sobie sprawy z tego, co potem będzie.

Wychylał się z powozu i patrzał na wszystkie strony.

Droga była pustą; podróż była bardzo krótką a jemu strasznie długą się zdawała. Niecierpliwił go każdy pagórek, przy którym konie nieco zwalniały miał ochotę wyskoczyć i drapać się pieszo na górę.

Gdy zobaczył lasek, otaczający kolumnę, kazał zatrzymać konie, zsiadł i dał rozkaz woźnicy aby zaczekał. Szedł dysząc niespokojnie; a to, co wkrótce zobaczył, przestraszyło go i wstrzymało jego kroki.

Pan de Somery i Juliusz Courberon potykali się; szpady się krzyżowały; czterech nieruchomych świadków stało na straży. Piąta osoba, zapewnie lekarz, trzymała się w pewnem oddaleniu i spoglądała czy policja nie ukaże się, gotowa być na zawołaniu.

Osoba ta spostrzegła Abla, wzięła go za używającego rannej przechadzki i podeszła ku niemu, dając ręką telegraficzne znaki, aby się zatrzymał.

Abel jak powiedziałem stanął ponury, z oczami pałającemi, widząc co się dzieje, sam nie będąc widzianym. Spotkanie odbywało się w alei a drzewa otaczające nie tworzyły zbytniego cienia, przeciwnie pozwalały światłu odbijać się na ostrzach mieczów.

Courberon był plecami zwrócony do Abla, który widział twarz pana de Somery. Człowiek dystyngowany był sobą. Blady ale spokojny imponował; — odpierał razy swego przeciwnika z pewną swobodą, nie nacierał na niego, dawał mu niejako lekcję bez gniewu, bez ubliżania i pojedynek przedłużał. Na pół rozebrany, jak tego reguła wymaga, w bieliźnie eleganckiej z założonemi rękawami na ręku silnym, z postawą wysmukłą i kształtną, przedstawiał się młodszym i silniejszym niż jego przeciwnik. Poruszenia potargały mu nieco włosy okrywające zwykle piękne, wysokie czoło. Od czasu do czasu poruszał głową, aby włosy spadające na oczy odrzucić w tył; faworyty zaś, okalające jego twarz, dodawały marsowego wyrazu jego fizjognomii. Nie męczył się; zawsze odpierał ostrze przeciwnika, pewien siebie i ostatecznego rezultatu. Gdy zechce, wytrąci szpadę z rąk Courberona i zakończy tym sposobem walkę; nie można było odgadnąć, czy tylko poprzestanie na daniu lekcji, czy też ukarze, jakiem draśnięciem pychę młodego kasjera?

Ze swej strony Courberon popełniał co chwila błędy, odsłaniał się i wystawiał jakby z wyrachowaniem na niebezpieczeństwo, uciekał się niby do strategii, aby uderzyć przeciwnika, ale próżne były to usiłowania.

Abel mimowoli stawał po stronie Courberona. Miłość własna młodego człowieka burzyła się w nim. Widział swego rówieśnika jak ciągle go oszczędzano, a obawiał się w duszy, że pan de Somery tak samo sobie z nim będzie chciał postąpić.

Równocześnie ku zadowoleniu swemu myślał, że ów pierwszy pojedynek skończy się na jakiem drobnem draśnięciu Courberona, że zostawi mu owego przeciwnika, pięknego pana de Somery. Nienawidził go teraz podwójnie, a myśl, że spotka się oko w oko z ową twarzą dumną, szlachetną, której spokój był dlań nową obrazą, irytowała go, bo obawiał się, że będzie równie bezsilny jak Courberon i równie pogardliwie odeprze jego razy ta wprawna ręka.

Patrzał tak od pięciu minut, gdy spostrzegł, że Courberon słabnie i traci przytomność nie z obawy lecz ze zmęczenia.

Lekarz, spokojny o Abla, oddalił się od niego, aby się do walczących zbliżyć.

Abel bezprzytomnie jak automat także podszedł. Założył ręce na piersiach i zacisnął zęby z obawy, aby nie krzyknąć, nie wybuchnąć. Nikt na niego nie uważał. Widziano tylko szpady połyskujące w pomroce poranka. Abel sądził, że stoi w cieniu ukryty. Nagle pan de Somery, który był wyższym od swego przeciwnika, spojrzał po za niego i spotkał się z wejrzeniem Abla.

Pobladł, zaćmiło mu się w oczach; zatrzymał się i nagle spuścił rękę. Courberon, zdziwiony tem poru-

szeniem, sądził, że przeciwnik zmęczony i także szpadę spuścił.

Lecz owo wstrząśnienie pana de Somery trwało tylko chwilkę. Podniósł szpadę i potrząsnął nią, aby dać znak przeciwnikowi. Courberon rzucił się wściekły. Somery machinalnie odparł cięcie i zasłaniając się, wyciągnął rękę, stojąc, wyprostowany, sztywny. Wystarczało to. Courberon biegnący naprzód, uderzył o ostrze wymierzone.

Usłyszano krzyk. Abel go wydał. Młody bankier zachwiał się, wypuszczając z rąk szpadę. Świadkowie przyskoczyli; lekarz pochwycił rannego i położył na trawie.

Pan de Somery oniemiały, siny, spuścił głowę, trzymając ciągle szpadę. Abel spiesznie podniósł broń Courberona i chciał zająć jego miejsce.

— Co to znaczy? — zapytał jeden ze świadków.

Abel już więcej mówić nie mógł, dusił się, poruszał szpadą wytrąconą, drżąc cały.

Pan de Somery skinął na świadków, którzy chcieli się rzucić i rozbroić młodego de Moranes. On sam odrzucił daleko swą szpadę.

— Ze mną trzeba było zacząć! — wykrzyknął wreszcie Abel.

— Zacznij pan i skończ! — rzekł pan de Somery, zbliżając się i odsłaniając pierś.

Abel cofnął się, uderzając nogą o ziemię.

— Panie, podnieś twą szpadę — zawołał.

— Nie — odpowiedział Somery.

Gdy świadkowie chcieli się wmieszać Abel przerwał:

— Czy nie wiedzieliście o tém, panowie, ze dziś rano miałem się bić z panem de Somery i z panem Courberon? Jestem Abel de Moranes, wyzwałem ich obudwóch wczoraj. Dziwię się, że nie powiedziano wam o tém.

Jeden ze świadków Courberona usłyszał te słowa; odwrócił się od rannego, którego opatrywano.

— Prawda — rzekł — Courberon mówił nam o tém.

Pan de Somery zamiast odpowiedzieć zaraz Ablowi lub swym świadkom, spojrzał badawczo na owego świadka Courberona. Młody człowiek pochylił się do ucha lekarza. Nastąpiło głuche milczenie na chwilę.

— Nie ma niebezpieczeństwa — wyrzekł doktor. Twarz pana de Somery rozpogodziła się, westchnął, a zwracając się do swych przyjaciół, wyrzekł głosem spokojnym i łagodnym:

— Panowie, nie ma powodu do pojedynku pomiędzy mną a panem de Moranes. Wczoraj widzieliśmy się po raz pierwszy. Owo spotkanie miało nam obudwom zostawić miłe wspomnienie w duszy.... Nieporozumienie czyli zadziwienie źle zrozumiane wywołało nierozsądną sprzeczkę... Kto był winien? Ja naturalnie względem pana Courberon zawiniłem. Przyjąłem jego wyzwanie... szczerze żałuję, że tak się pojedynek zakończył, nie odemnie to zależało, ale nie ma najmniejszego powodu, abym się pojedynkował z panem de Moranes, który nie przychodzi przecież pomścić się pana Courberon.

— Pan wiesz, kogo chcę pomścić — przerwał Abel.

— Jeżeli w czemkolwiekbądź wczoraj zawiniłem względem pana — odparł stanowczo Somery — to pomimowoli i szczerze za to pana przepraszam.

Abel poruszył głową przecząco.

— Pan wiesz dobrze, że nie mogę przyjąć przeproszenia.

— Dla czego?

Abel spojrzeniem oddalił świadków cisnących się pomiędzy nich, a pochylając się i opierając na szpadzie, którą zatknął w ziemię, rzekł półgłosem ale dobitnie, wymawiając słowa jak obelgi.

— Panie, poszedłem za radą pana Courberon zapytałem ojca.

Somery wyprostował się, oczy jego zadrgały nerwowo i czekał.

— Wiem wszystko, rozumiesz mnie pan? — syknął Abel.

— Może! — odpowiedział równie stanowczo Somery.

Dodał zaś głośniej:

— Mimo to nie widzę przyczyny, żebym pojedynek przyjmował!

— W każdym razie, rzekł jeden ze świadków, słysząc te słowa, nie pozwolimy, aby ten pojedynek miał się zaraz odbyć po tamtym.

— Niech i tak będzie! odpocznijcie godzinę, ale spieszcie się! mruknął Abel puszczając z rąk szpadę.

Ten sam świadek pana de Somery, człowiek grzeczny i prawy, zwrócił się do Abla:

— Czy pan de Moranes ma świadków?

— Nie. Podzielicie się panowie, pan de Somery zezwoli na to.

— Trzeba jednak spróbować, czy nie można w inny sposób sprawy tej załatwić. Jakiż jest powód wyzwania?

Abel zadrżał i zarumienił się.

— Tak panie, rzekł pan de Somery, spoglądając na Abla badawczo, jakby go chciał wzrokiem przestrzedz, by zważał na to, co powie tym obcym; jakiż mamy istotnie powód do pojedynku?

Czy Abel mógł odsłaniać tajemnicę familijną? Zadrżał z gniewu, ręce wyciągnęły się, jakby chciał uderzyć, ale miarkując się, starając się odzyskać zimną krew i ulegając potrzebie wypowiedzenia tego co mu na sercu leżało, pociągnął skinieniem głowy pana de Somery opodal, a gdy widział, że ich usłyszeć nie mogą.

— Pytasz pan, rzekł wymawiając z przyciskiem każde słowo, jaki mam powód do pojedynku?,.. Wymyśl go pan sam. Jest to jedyna szlachetność, jakiej wymagam od pana, bo przysięgam ci na Boga, że bić się będziemy i że chcę cię zabić.

— Bić się nie będziemy, ale wolno ci jest zabić mnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jałmużna.

NOWELLA.

(Dokończenie.)

V.

Nasz artysta tymczasem, Jerzy Dumaines, pracował dalej, borykał się z losem przekornym, gonił za sławą i powodzeniem; a ile razy zdawało mu się że już... już... chwyta te mary zwodnicze znikały mu one z przed oczu; ni to błędne ogniki.

Obrazy jego były sumiennie wykończone; nosiły na sobie piętno talentu genjalnego, a jednak albo ich wcale na wystawy nie przyjmowano, lub umieszczano w świetle najgorszym.

Jakiś młodzik, bez protekcji, bez nazwiska, któżby tam robił sobie co z niego?

Wreszcie, by nie umrzeć z głodu, wziął się do robienia portretów. Biada artyście z iskrą geniuszu w łonie, który zejść musi z wyżyn sztuki, całą duszą ukochanej do poziomu prostego portrecisty.

Czuł biedny Jerzy, że tem talent zabija, gasi ogień święty natchnienia; że dawny zapał do tej niewdzięcznej kochanki przemienia się u niego powoli w gorycz i zwątpienie o sobie samym, symptomat dla artysty najniebezpieczniejszy.

Musiał pracować na kawałek chleba, jak prosty wyrobnik; ze śmiercią w duszy, z gorzkim uśmiechem na ustach, bolem ściętych.

Na ileż śmieszności natrafiał; ileż najdzikszych pretensji roszczono sobie do niego, za tych nędznych kilkaset franków wynagrodzenia!

Pewien dygnitarz, chciał mieć wszystkie ordery na piersiach — „a i o kluczu szambelańskim, niech pan także nie zapomni" — przypolecał artyście. Pogódź że tu jedno z drugiem!

Bogata mieszczka żądała by na jej portrecie, świeciły zdaleka wszystkie kosztowne manele, co do jednego pierścienia na grubych, czerwonych palczyskach paradującego. Gdy jej artysta delikatnie perswadował, że na płótnie złocić, ani emaljować się nie da, z fukiem odpowiedziała:

— Co to nie można, dlaczego nie można? Drożej zapłacę i basta! a klejnotów moich nie daruję! Musisz pan je wszystkie odmalować, albo niema między nami interesu?

I biedny artysta odchodził z kwitkiem, złorzecząc nieraz godzinie swojego urodzenia.

Blondynka żółta i wymokła miała pretensję przemienić się na portrecie, w ognistą Andaluzkę; natomiast smagła o rysach męskich i energicznych bruneta, chciała gwałtem wyglądać czule i sentymentalnie, jak gruchająca pasterka, ze swoim wiernym Filonem.

Miejże tu rozum Salomona! czy potrafisz dogodzić tym wszystkim wymaganiom.

Wlókł tedy nasz artysta żywot ciężki z dnia na dzień; za jedyne wytchnienie uważając krótkie chwile, które mógł przepędzić w domu, w swoją Madonnę zapatrzony.

Po długich i mozolnych poszukiwaniach, udało mu się wreszcie trafić na ślad, kim byli Raul i Paulina Giraud pod owym obeliskiem na cmentarzu Montmartre pochowani. Tu atoli nitka się urwała i on jak dawniej w labiryncie najrozmaitszych przypuszczeń pozostał.

Po jednem takiem posiedzeniu, gdzie przez całą godzinę miał przed sobą, twarz bez najmniejszego wyrazu, o rysach pospolitych, a co chwila musiał słuchać najgłupszych krytyk swojej pracy, tak przez sam Model, jak i przez resztę rodziny wypowiadanych; wyrwawszy się nareszcie cały w potach jak po łaźni, szedł powoli, z głową spuszczoną wzdłuż Boulevarów, gdy w tem głos niecierpliwy „stój, stój" — zawołał, budząc go z bolesnej zadumy. Drobna ręka kobieca, szarpnęła za sznurek w karecie, obok Jerzego przelatującej, by wstrzymać woźnicę, a jednocześnie druga ręka spuszczała okno. Woźnica osadził w miejscu, parę pysznych Arabczyków, lokaj zeskoczywszy z kozła, na skinienie pani drzwiczki otwierał.

— Henryku! kuzynku! — zawołał głos młody i dźwięczny — chodź tu do mnie czem prędzej! Szukam cię już dni kilka jak szpilki po Paryżu i od nikogo dowiedzieć się nie mogę, którędy się obracasz.

Jerzy zdziwiony, oszołomiony, wahał się jeszcze, czy iść za głosem wabiącej go Syreny, gdy postać urocza wychyliła się prawie zupełnie tak że ręką, jego dłoni dosięgła a wciągając go żywo do powozu „Jedź" krzyknęła na woźnicę.

Drzwiczki się zamknęły, powóz pomknął dalej, a Jerzy nolens volens, znalazł się obok swego Ideału w wydaniu drugiem, oprawnem w koronki i aksamit.

— Wyobraź sobie kuzynku — trzepała dama w karecie z żywością trochę nienaturalną, jakby się bała, by jej nie przerwano, lub chciała pokryć własne pomieszanie. — Skończywszy jak wiesz żałobę po moim mężu, spadam do Paryża, po kilku latach dzika istota, jakbym od Hotentotów wracała. Nic nie wiem na czem teraz jecie, w czem jeździcie, jakich mebli używacie, w co się ubieracie? Muszę wyglądać sama, jak Mamut przedpotopowy, a widzisz w czem mnie wiozą, z komicznym gestem, rzuciła ręką po karecie. — ... Arka Noego, pudło obrzydliwe, jak omnibusy na zielono pomalowane, a konie kare, jak u rydwanu pogrzebowego. Ja zaś pragnęłam koni maści izabelowej, i lekkiego powoziku, jasno szafirowego! Cóż chcesz? te płatne istoty, nigdy nas nie zrozumieją. Konie i powozy tobie polecam kuzynku, jako sportsman'owi

par excellence. Musisz mi także nastręczyć tapicera i modystkę któraby ze mnie zrobiła stworzenie, cokolwiek więcej do ludzi podobne. Czego byś ty kuzynku nie wiedział? czystej krwi Paryżaninie!

Wypowiedziawszy to wszystko jednym tchem ustała wreszcie, serce nieznacznie ręką przyciskając. Wtedy Jerzy odezwał się nieśmiało lecz stanowczo!

— Daruj pani, tu atoli zachodzi omyłka. Nie jest mi Henryk na imie, i nie mam zaszczytu posiadać tak dostojnej jak ty pani kuzynki.

— Ha! ha! ha! to wyborne! — zaśmiała się nerwowo, a tak przeciągle, jakby się do tego śmiechu gwałtem siliła. — Takie łudzące podobieństwo! Przepraszam pana; tysiąckrotnie przepraszam, za tak despotyczne rozporządzenie pańską osobą. Skoro jednak dziwnem losu igrzyskiem, siedzimy obok siebie w jednej karecie, powiedzmy sobie kim jesteśmy. Walentyna Derby, wdowa po lordzie angielskim.

— Och, moje nazwisko — Jerzy gorzko się uśmiechnął — tak niskie i nikomu dotąd nieznane, iż nie godne stanąć obok twojego pani.

— Proszę jednak o niego, usilnie proszę!

— Jerzy Dumaines — szepnął.

— Ach! artysta malarz, którego prześliczny obrazek rodzajowy „Obóz Arabów koczujących", kupiłam właśnie w magazynie na ulicy Saint Honoré.

— Bardzoś pani łaskawa, że raczyłaś nazwać mnie artystą. Była chwila, iż marzyłem o prawdziwem artyzmie. Dla sztuki poświęciłem związki rodzinne, poświęciłem jej życie i jak drugi Icar śmiałym lotem ku słońcu leciałem. Niestety, skrzydła moje prędko również połamały się i opadły; ta zwodnica, na to tylko przywabiła mnie i wodziła po manowcach, by zepchnąć z wyżyn natchnienia, do roli nikczemnego portrecisty. Dziś nie wart jestem miana artysty — dodał z wzrastającą goryczą — zostałem prostym wyrobnikiem. Pracuję dla chleba jedynie!

Młodej kobiecie oczy łzami zalśniły.

— O! pan bierzesz rzeczy zanadto tragicznie — przerwała. — Wszak najpierwsi Mistrze portrety malowali. Ale to się ślicznie zdarzyło. Właśnie pragnęłam dać mój portret zrobić. Może będziesz łaskaw podjąć się tego. Nie bój się pan mojej żywości. Potrafię być całkiem serjo i bardzo spokojną. Będę Modelem najposłuszniejszym, z góry to obiecuję.

— Byłbym najszczęśliwszy — bąknął Jerzy — ależ znajdą się w Paryżu godniejsi tak wielkiego zaszczytu...

— A kiedy ja nie chcę tych innych — wydęła usta robiąc śliczną przytem minkę. — Tacy panowie, popsuci przez zbyteczne pochwały, wiecznie w chmurze kadzideł zawieszeni, malują portrety od niechcenia a mój musi być wykończony artystycznie.

— Czy tylko podołam zadaniu?

— O! Jestem trochę Lawaterzystką. Pańska głowa i czoło zdradzają zdolności niepospolite. A więc zgoda! Dziś zjesz pan ze mną à la fortune du pot objadek; wybierzesz pokój ze światłem najlepszem i wskażesz mi ubior w którym mnię raczysz malować.

Powóz w tej chwili zakreślił koło i stanął przed bramą pałacyku. Jerzy jak senny, jak odurzony, sam nie wiedział jakim cudem znalazł się obok gospodyni domu w ślicznej i gustownej salce jadalnej.

— Czemu ona tak się uwzięła na mój spokój, ta niebezpieczna czarodziejka? — powtarzał w duchu — a jednak tak mu było błogo przy niej, że chciałby śnić podobnie przez całe życie.

Zresztą wszystko złożyło się tak naturalnie. Dziwiła go jednak ta jej serdeczność, prawie poufałość w obejściu z zupełnie nieznajomym. — Swoboda damy prawdziwie wielko-światowej — tłumaczył sobie. — Wiedzą, te losu pieszczotki, że im świat wiele przebacza, coby bezpowrotnie zgubiło ubogą dziewczynę. One ze swojej wyżyny towarzystwu prawa dyktują, ale jemu nie dają się w niczem tyranizować.

Chce mieć swój portret, przypadek sprowadził ją z malarzem, którego pęzel w obrazie jej się podobał, więc go od razu dla siebie konfiskuje. Zwyczajne zachcenie bogatej pani, przyzwyczajonej, by wszystko i wszyscy jej życzeniom dogadzali.

Obraz ubogiej dziewczyny, pod kamienicą spotkanej, coraz się w umyśle Jerzego zacierał. Tak — myślał w duchu — tamta, to był wyskok mojej chorobliwej wyobraźni, Walentyna zaś, to urzeczywistnienie mojego Ideału.

— Czy pozwolisz pan odwidzieć swoją pracownię? spytała go po obiedzie piękna gospodyni.

— Boże! ta dziura na poddaszu! — pomyślał z trwogą — a dodał głośniej nieco. — To tak wysoko.

— Im bliżej nieba, tem bliżej natchnienia. — Mam zdrowe nogi — uśmiechnęła się słodko. — Tylko musisz mi pan pozwolić jeszcze na jedną fantazję. Bez kwiatów żyć nie mogę a panowie nie macie czasu tem się zajmować. Jutro zatem przyszlę panu nieco kwiatów. Zobaczysz jak zyskają pańskie piękne obrazy, gdy je zieloność otoczy.

Z domyślnością właściwą kobietom odgadła myśl Jerzego i chciała kwiatami nagość jego ubogiej izdebki ozdobić.

— Wszystko będzie, jak pani rozkażesz — skłonił się Jerzy. — Gdzie Elfy zejść raczą, tam zwykli śmiertelnicy, czołem tylko uderzyć mogą.

Nazajutrz zręczny ogrodnik, przemienił w zieloną świątynię, biedną izdebkę Jerzego.

Koło południa ukazała się Walentyna. Okiem znawcy przebiegała obrazy, chwaląc i podnosząc tychże zalety. Wreszcie przyszła kolej na Madonnę.

— Czy wolno? — spytała, dotykając się firanki.

— Ah! to głowa Madonny — mruknął Jerzy pomięszany. — Nie mam jej na sprzedaż, więc dla tego zasłaniam przed okiem ciekawych. Jeżeli pani chcesz ją widzieć koniecznie...

Sam obraz odsłonił.

— Jakież to cudowne! — Walentyna krzyknęła zachwycona, i nagle ku oknu się odwróciła by ukryć

bladość lic i gwałtowne wzruszenie. Po chwili drżącym głosem przemówiła:

— Nie powinnabym tak się unosić nad pańskiem arcydziełem, bo ta Madonna trochę mnie przypomina. Rozumi się, o ile może być podobną ziemska istota, do Dzieła natchnionego artysty, jakim pan byłeś w chwili gdyś tworzył tę głowę nieporównaną.

— Mylisz się pani. Nie znałem ciebie, gdy moją Madonnę stworzyłem. Jej Wzór, była to biedna w łachmanach dziewczyna. O! jak tamtej pilnie szukałem, jak pragnąłem podzielić z nią moje ubóstwo. Gdybym miał przy boku tego cichego anioła, byłbym może został prawdziwym artystą. Wszelkie starania i poszukiwania, były daremne... nie znalazłem jej nigdzie! A dziś... jużbym jej nawet nie chciał odszukać — szepnął tak cicho, że chyba sam słowa te zrozumiał.

— Tę Madonnę mieć muszę — Walentyna żywo zawołała — za jakąbądź cenę!

— Nie mam jej na sprzedaż — Jerzy zimno odrzucił i zapuścił firanki. — Z góry to pani oświadczyłem.

— A ja jednak nie tracę nadziei, że ją mieć będę — uśmiechnęła się filuternie. — Tymczasem portretem moim zadowolnić się trzeba. A więc do jutra panie Jerzy — i na odchodnem serdecznie dłoń mu uścisnęła.

Zaczęły się posiedzenia. Jerzy wybrał strój z czasów Marji Stuart. Suknia niebieska aksamitna z lekką jak mgła kryzą koronkową, w miękkich fałdach spadając, cudnie odznaczała kibić wiotką Walentyny; sznur pereł ogromnych i jak opale świecących, wił się misternie pomiędzy włosów zwojami i spadał na śnieżną szyję. Więcej żadnych ozdób nie było, prócz krasy młodości i wdzięku nieporównanego, samego Modelu.

Portret postępował i można się było spodziewać, równego z Madonną arcydzieła; gdy w tem razu pewnego Jerzy zerwał się od sztalug gwałtownie, a chwytając się oburącz za głowę:

— Nie mogę dłużej malować ciebie pani! — wykrzyknął rozpaczliwie.

— Dla czegóż to? — spytała Walentyna uśmiechając się naiwnie, jak gdyby niczego się nie domyślała.

— Bo twoje oczy, twój uśmiech czarowny, to słodka ale niebezpieczna trucizna. Szał mnie ogartuje; zapominam kim jestem, a kim ty pani! Są chwile w których przypuszczam, że przepaść nas dzieląca mogłaby miłość zapełnić... Szalony! roję obrazy, czem byłoby życie z tobą... i czuję wtedy że życie bez ciebie, to śmierć! Muszę uciekać z tego koła zaczarowanego póki resztę zdrowych zmysłów nie utracę.

Walentyna ciągle się uśmiechała, wreszcie słodko przemówiła:

— Że też i najszlachetniejsi pomiędzy wami moi panowie, mają jeszcze tyle w sobie egoizmu. Niewdzięcznik! On tylko o sobie myśli, a mnię, to ani spyta, czy żyć bym bez niego potrafiła.

— Walentyno! Aniele! Czy mnie zmysły nie łudzą? Czy ty istotnie chcesz zejść z twego piedestalu Bóstwo moje! i ze mną losy twoje połączyć?

— Naturalnie że niczego więcej nie pragnę, a ty się tego domyśleć nie chciałeś niegodziwcze!

Porwał ją z zachwytem w ramiona i do piersi przycisnął.

Nie profanujemy słowami chwili tak uroczystej, gdy dwoje serc miłością przejętych, pierwszy raz spowiadają się przed sobą, z uczuć czystych i przez Boga samego uświęconych.

Wezwano rodzinę Dumaines. Walentyna przyjęła wszystkich tak serdecznie i z taką łatwością, że od razu uczuli się jak u siebie, zapominając zupełnie, że ich wielka dama w swoim pałacu przyjmuje.

Po ślubie i skromnej uczcie, która się odbyła w najściślejszym kółku rodzinnem, młodzi małżonkowie znaleźli się sami, w rozkosznym budoarze gdzie wśród klombu krzewów egzotycznych wisiała Madonna Jerzego.

— Wytłumacz mi mój aniele, jak się to wszystko stało? — pytał Jerzy tuląc miłośnie piękną swoją żonę do serca gwałtownie bijącego. — Jeszcze nie śmiem szczęściu mojemu uwierzyć i boję się by jak sen czarowny nie uleciało.

— Oto rozwiązanie tej zagadki — podała mu kluczyk misterny i białą szyję z medalionem nastawiła. — Otwórz i zobacz.

— Jerzy najprzód cudną szyjkę ucałował; potem drżącą ręką medalion otworzył.

Na ponsowym aksamicie leżała złota dwudziestofrankówka.

— Co to jest? Co to znaczy? — szepnął w najwyższym stopniu zdziwiony.

— Jałmużna, którąś dał biednej dziewczynie w łachmanach. Słowa poczciwe, dołączone do jałmużny, proroczym duchem wypowiedziałeś. Za tobą nadszedł lord Derby. Poznał we mnie córkę pułkownika Giraud, który mu pod Waterloo życie uratował. Zajął się losem naszym z całą szlachetnością. Matce mojej niestety, życia już wrócić nie mogliśmy. Zgasła w rok niespełna na naszych rękach i byłeś świadkiem jej pogrzebu, na cmentarzu Montmartre. Wyjechałam do Anglji wraz z mężem. Gdyby nie twój obraz, który uniosłam z sobą w myśli i sercu, byłabym u boku tego zacnego człowieka czuła się względnie szczęśliwą. Nie śmiałam marzyć o tobie a przecież jedyna po tobie pamiątka; pieniądz z rąk twoich otrzymany, nigdy z piersi mojej nie schodził. Szanowałam nazwisko, które mi lord nosić pozwolił, uszanowałam jeszcze i pamięć jego, przez czas żałoby nie starając się wcale ciebie odszukiwać; moja miłość atoli nie była grzechem, gdyż lord Derby przez ludzi za męża mego poczytany, przed Bogiem był mi ojcem tylko — ukryła twarzyczkę zarumienioną na piersiach męża.

— Skoro wróciłam do Paryża, nie ustawałam w szukaniu ciebie, lecz i ja również jak ty walczyłam z niepojętemi trudnościami. Jak tu odnaleść kogoś o którym nie ma się najmniejszej wskazówki! Wreszcie los szczęśliwy, pozwolił mi spotkać ciebie na Boulevarach, i już cię też więcej z rąk nie wypuściłam, mój ptaszku ukochany! Nie potrzebujesz odtąd być w rozterce z sercem własnym. Dziewczę w łachmanach i dama w aksamitach, to jedna i ta sama osoba; pierwowzór twojej Madonny, a dziś twoja najszczęśliwsza i najprzywiązańsza żona!

Zarzuciła mu dwoje białych ramion na szyję i ustami na jego ustach zawisła.

KONIEC.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W Maniecki.